

ROZDZIAŁ 5

Michał 'Veron' Tusz

Trzynastka, część 3

13

Do chwili aż ciżba wiekowych mieszkańców Konięcypola wypełniła mieszkanie Ryszarda Milowicza na zewnątrz porządnie się rozpadało. Deszcz siekł intensywnie, przemywając drogę dla kroczącej coraz szybciej i większymi krokami nawałnicy. Zachodni wiatr dął nieustępliwie, wyjąc ostrzegawczo i łomocząc w drzwi i okna domu Milowicza. Kilka razy z każdą chwilą groźniejsza aura za pomocą narastającej wichury zadudniła rupieciami na strychu, wprawiając je w drgania – graty na poddaszu bały się i oznajmiały swój strach ludziom zebranych pod nimi.

A tych przybyło jedenaścioro. Siedmiu mężczyzn i cztery kobiety. Dziadkowie i babcie. Staruszkowie. Starcy. I choć wedle słów Milowicza każde z nich było od niego sporo młodsze, to co niektórzy wyglądali nawet na starszych. Tak też się zachowywali – potykali się o siebie, ciężko siadali, sapali przy każdym ruchu. Milowicz spoglądał na nich spod nisko opuszczonych brwi.

Obecność przybyszów z zewnątrz wyraźnie zdziwiła miejscowych. Mieszkańcy Dziewiątki musieli zdać relację z tego, w jaki sposób dotarli do ich miasta. Starcy słuchali w większości z rozdziawionymi ustami, chłonąc każde słowo. Sześcioro ze Schronu Numer Dziewięć odniosło wrażenie, że są oni uziemieni tu już bardzo długo. Sami staruszkowie okazali się bardzo mili, spokojni – idealnie mieścili się w wyobrażeniu o babci i dziadku.

Ryszard Milowicz odczekał wystarczającą ilość czasu aż jego pobratymcy wygadają się do woli. Gdy jednak spotęgowana z silnym grzmotem jaśkrawa błyskawica rozdarła niebo, bez ceregieli wykorzystał nagłą przerwę w paplaniu staruszków i przeszedł do celu spotkania:

– Na ostatniej naradzie poprosiłem was, byście przemyśleli wszystko jeszcze raz. Przedstawiłem wam swoje argumenty, poparłem je pomiarami z Geigera. Pytam się zatem: jaka jest wasza decyzja? Kiedy wyruszamy?

Staruszkowie spojrzeli po sobie. Odezwał się jeden z nich, w kraciastej koszuli, siedzący pośrodku kanapy, z której wcześniej zeszedli mieszkańcy Dziewiątki, ustępując miejsca starszym:

– Nigdy. Postanowiliśmy, że nie wyruszamy.

Ariel i pozostali z sześciorga dostrzegli, jak Milowicz silnie zaciska zęby.

– To ja się pytam po raz wtóry: dlaczego? Przecież czeka nas tu śmierć.

– Tak czy siak czeka nas śmierć – odparł starzec w kraciastej koszuli. – Co za różnica, czy tu, czy gdzie indziej?

– Nie mówiłem o was, stare graty! – wybuchnął Milowicz tak nagle, że co niektórzy starcy – a także mieszkańcy Schronu Numer Dziewięć – podskoczyli na swoich miejscach. – Mówiłem o dzieciach! Pytam się raz jeszcze: dlaczego chcecie zabić te dzieci?!

Staruszkowie wzburzyli się. Zaczęli jeden przez drugiego przekrzykiwać się:

– Nikogo nie chcemy zabijać!...

– Jak możesz tak mówić!...

– Chcemy dla dzieci jak najlepiej!...

– Dzieci są najważniejsze!...

– Spokój! – zagrział Milowicz w jednym momencie z wyładowaniem na dworze. Starcy uciszyli się, choć niejeden coś jeszcze mruzczał cicho pod nosem. – Czy naprawdę jesteście tak głupi, czy to ja czegoś nie rozumiem? – kontynuował. – Skoro dzieci są najważniejsze, jak sami mówicie, czemu chcecie im zgotować los, jaki spotkał ich rodziców? Jeśli promieniowanie w wodzie się zwiększy – a zwiększy się – zginą. A wy razem z nimi!...

– Może się nie zwiększy... – zaczęła któraś babcia, ale Milowicz uciszył ją taksującym spojrzeniem.

– Nic nie jest pewne – rzekł dziadek w kraciastej koszuli. – Z naszych obliczeń wynika, że...

– Z waszych obliczeń?! – Milowicz grzmotnął pięścią w stół. – O czym ty, kurwa, mówisz?! Nie potraficie nawet podetrzeć sobie nosa, a ty mi mówisz o jakichś waszych obliczeniach?

– Sądzymy, że nie zagraża nam niebezpieczeństwo.

Ryszard Milowicz przymknął oczy. Ariel spoglądał na niego, czując wzbierające współczucie.

– Proszę państwa, zagraża wam niebezpieczeństwo – powiedział spokojnie. – Bo nawet jeśli nie umrzecie, może spotkać was oraz wasze dzieci to, co mieszkańców Śląska...

– Że niby będziemy zmutowani, czy coś? – prychnął milczący dotąd starzec w podziurawionej, popielatej czapce z postrzępionym daszkiem. – Nikt ich nigdy nie widział. To wszystko bujdy tego starego łgarza... – wskazał na Ryszarda.

– To nieprawda – wszedł mu w słowo Ariel. – My ich widzieliśmy.
– Wskazał na współtowarzyszy ze schronu. – Te potwory zabiły naszego przyjaciela.

Starcy wpatrywali się w niego i pozostałych w niemym zdumieniu.

– To co mówi pan Ryszard jest prawdą i możemy to potwierdzić – rzekł Ariel. – I on ma rację. Uciekajcie, jeśli tylko możecie i jeśli nie jest za późno.

– „Budujcie arkę przed potopem” – dodał Kapłan.

Milowicz podniósł wzrok.

– A jeśli wam nie wierzymy? – powiedział starzec w zniszczonej czapce z daszkiem.

– Nie macie powodu, żeby nam nie wierzyć – odrzekł Dziadek. – Nie znaliśmy się wcześniej.

– Tak, nie mielibyśmy czasu, żeby na cokolwiek się umawiać – przytaknął Ariel.

– Przecież chodzi o te słodkie, mądre dzieciaki – dodała Oliwia. – Musicie je ratować.

Starcy spoglądali na nich w milczeniu.

– Ale to przecież nasz dom – rzekła któraś staruszka. – Już tyle lat tu mieszkamy...

Milowicz pokręcił głową.

– To przestaje być nasz dom – powiedział cicho. – Dom, który zagraża życiu, to nie dom.

Silny grzmot rozległ się za oknem. Milowicz kontynuował:

– Nie będziemy młodszy. Nie będziemy piękni jak dawniej. Nie będziemy sprawniejsi. Ale oni mogą być. – Wskazał palcem na budynek naprzeciw jego domu. – Musimy im to umożliwić. W miarę naszych możliwości.

Wyglądało to tak, jakby coś zaczynało docierać do starców. Jeden wciąż jeden pozostawał nieugięty. Ten w zniszczonej czapeczce.

– Pięknie to mówisz, tak pięknie – rzekł, kiwając kpiąco głową. – Zupełnie jakbym słyszał naszego premiera tuż przed wojną. Cholerzego Uspolaka...

– Bagnet przymarzył ci do dłoni, skoro sięgasz po taki argument – skwitował Milowicz.

– Doprawdy? Chyba nie zaprzeczysz temu, że to Ricky Miller zrujnował Polskę? Że tak chytrze zapewnił sobie zwiększenie i wydłużenie

władzy? Że wprowadził stan wyjątkowy na tak długo, bo bał się utraty stołka?!

– Co to ma do rzeczy?...

– Tak samo mydlisz oczy jak i on!

– Uspokój się, Grzegorzu...

– Nie uspokoję się! – Mężczyzna w zniszczonej czapeczce nazwany Grzegorzem wstał z kanapy. – A właśnie, że nie!...

– Dlaczego podnosisz głos w moim domu? – zapytał spokojnie Milowicz.

Starzec Grzegorz dyszał wściekle, piorunując Milowicza wzrokiem.

– Bo chcę, żeby wszyscy usłyszeli, że to ty chcesz nas zabić, tak jak zrobił to wspomniały Ricky Miller! – wycedził Grzegorz przez zęby.

Brwi Ryszarda Milowicza ponownie ściągnęły się w jedną linię.

– Tak właśnie jest – mówił dalej starzec Grzegorz. – Tak jak Miller zaczniesz stawiać elektrownie, które okażą się silosami z bronią atomową!...

– Słucham?

– Tak bardzo lubisz te głupie metafory, więc mówię jak ty, żebyś zrozumiał! Tak jak Miller będziesz budował bunkry dla wybranych w tajemnicy przed wszystkimi!...

– Sam w takim bunkrze przeżyłeś wojnę! – przerwał mu Milowicz.

– Bo sam do niego wtargnąłem! – wrzasnął Grzegorz. – Gdyby nie to, że ktoś się wygadał i że postawiliśmy się władzom, zginęlibyśmy jak miliony innych!

– A więc ciesz się życiem! – huknął Milowicz do społu z szalejącą na zewnątrz nawałnicą. – I daj się cieszyć innym!

– Tak jak Miller będziesz patrzył jak młodzi ludzie umierają!...

– Grzegorzu, ostrzegam!...

– I umrzesz jak on! I to prędzej niż ci się zdaje...

– Zamilcz!

Kolejny potężny grzmot sprawił, że dom Ryszarda Milowicza zadrżał w posadach. Światło na moment ściemniało. Gospodarz i gość mierzyli się wzrokiem, ciężko oddychając. Ulewa bębniła w okno i blaszany parapet.

– Prawdziwy patriota broni swojego domu – powiedział cicho Grzegorz. – Nie ucieka przed wrogiem, ale walczy z nim. Widzisz to? – Starzec zagrzebał w wewnętrznej kieszeni znoszonej marynarki i wyciągnął kawałek biało-czerwonej tkaniny. – Zawsze to mam przy

sobie. Flaga. Polska flaga. Oto prawdziwy patriotyzm. Co ty możesz o tym wiedzieć...

Ryszard Milowicz spoglądał na niego z politowaniem.

– Patrioto... – zaczął. – Powiedz mi wprawdzie, czym jest ojczyzna...

Czym innym jak nie twoimi braćmi i siostrami? Jak nie twoimi dziećmi?!

Jeśli tego nie rozumiesz nie jesteś niczym innym jak „patridiotą”...

Patridioci, oto czym jesteście!... – krzyknął do pozostałych starców.

W tej chwili drzwi wejściowe otwarły się i do domu Milowicza wpadły przemoczone dzieci, które mieszkańcy schronu poznali wcześniej.

– Dziadku, dziadku! Wiatr zrywa dach!

Milowicz bez chwili zwłoki wypadł z mieszkania i czym prędzej skierował się do budynku naprzeciw jego domu. Za nim wybiegli pozostali mieszkańcy Koniecpola, a także sześcioro ze Schronu Numer Dziewięć. Nie ubiegli jednak zbyt daleko. Wiatr dał niemiłosiernie. Aż dziw, że dom Milowicza tak dzielnie mu się opierał. Pioruny waliły jeden za drugim w pobliskie drzewa. Grzmoty ogłuszały intensywnością hałasu. Na Koniecpol zstąpiła prawdziwa trąba powietrzna. Palec Boży.

W kilkoro dobiegli do murowanego domu niemal na kuckach. Resztki dachówek przelatywały niebezpiecznie nisko nad ich głowami. Większość starców przestraszyła się do tego stopnia, że zawróciła do mieszkania Milowicza. Podobnie David i Olivia, a z nią Daniel. Ryszard Milowicz spoglądał zaś wysoko ponad siebie, patrząc na nieustannie szarpane wicherą resztki konstrukcji dachu. Był bezradny.

– Panie Ryszardzie, musimy się schować! – wrzasnął mu Ariel do ucha, przekrzykując huk nawałnicy.

– Wiatr wszystko zniszczy!... – Milowicz rozkładał ręce na boki.

– Nic nie damy rady teraz zrobić! Odbudujemy go razem później!

– Nie mogę go tak zostawić!...

– Nie ma pan wyjścia! Uciekajmy!...

– Rysiek, cholera, idziemy! – krzyknął Grzegorz. – Ruszaj się! Bez gadania!...

– Ale!... – zaczął, lecz Ariel i Grzegorz pociągnęli go w stronę jego mieszkania.

W tym momencie błyskawica rozcięła złowrogo granatowe niebo i piorun z ogłuszającym hukiem uderzył w budynek. Ariel, stary Grzegorz i Milowicz oszołomieni upadli na ziemię. Wiatr z głuchym łoskotem oderwał resztkę dawnego piorunochronu od ściany budynku, który – nie

wiedzieć kiedy – z zawrotną prędkością pofrunął akurat w stronę leżących w błocie mężczyzn. I nim zdążyli się zorientować, kawał druta rozorał tors wstającego w tym momencie Ryszarda Milowicza. Starzec jęknął i upadł na plecy. Ariel odruchowo otarł twarz, brudząc się przy tym błotem, i z niedowierzaniem patrzył na starca. Stary Grzegorz złapał się za głowę. Z boku Milowicza sączyła się krew, pozostawiając na ziemi nienickną w brudnej wodzie plamę.

Dziadek i Kapłan, widząc co się dzieje, ruszyli tamtym na pomoc.

– Nie ruszaj się – powiedział Kapłan do Milowicza. – Masz głęboką ranę pod żebrami. Dajcie mi kawałek materiału! Trzeba zatamować krwotok...

Dziadek przeszukał kieszenie, Ariel podobnie. Nic. Wówczas stary Grzegorz wyjął zza pazuchy swoją flagę. Wręczył ją Kapłanowi, który bezzwłocznie przyłożył materiał do rany Milowicza. Stary Ryszard jęknął z bólu.

Ariel i Dziadek spoglądali na Grzegorza, który spuścił wzrok.

– To patriotyzm – rzekł cicho Dziadek.

Burza powoli uspokajała się i oddalała.

Zanieśli rannego Ryszarda Milowicza do jego domu i położyli w pokoiku w drugiej jego części, tak, by dzieci nie musiały go oglądać i męczyć. Kapłan w miarę swoich możliwości opatrzył ranę. Szeptem poinformował resztę z Dziewiątki oraz pozostałych starców, z których kilkoro poszło obejrzeć zniszczenia, jakich dokonał wiatr, że rana jest bardzo głęboka i jeśli Milowicz wygrzebie się z tego, to będzie zaiste cud. Siedzieli więc w ciszy, pozostawiając gospodarza w spokoju, jak sam sobie zażyczył. Nawet pogoda posłuchała, grzmoty bowiem dawno zamilkły.

Ariel chyba najmocniej z sześciorga ze Schronu Numer Dziewięć przeżywał dramat Ryszarda Milowicza. Jemu przypadła pierwsza rozmowa z gospodarzem, do niego głównie zwracał się Milowicz. Arielowi wydawało się, że go rozumiał, że nadają na tych samych falach, jakby powiedziano dawno temu. Czuł, że gdyby znali się dłużej, mógłby się od niego wiele nauczyć. Dlatego też czuwał przy drzwiach, obracając w dłoniach mały, srebrny dyktafon, z którego popłynęła opowieść o katowickim żołnierzu.

Nagle usłyszał zza drzwi słaby głos Milowicza. Wetknął głowę do środka.

– Czego potrzebujesz?

– Daj mi wody – szepnął starzec.

Ariel podszedł do ustawionego obok starej kozetki, małego, odrapanego stolika, na którym ustawiono metalowy garneczek z wodą, nalał nieco do blaszanego kubka i podał Milowiczowi. Ten jednak nie miał siły go chwycić. Ariel nachylił więc kubek do jego ust, gasząc pragnienie starca. Zerknął na miejsce, które uciskał Milowicz. Rana krwawiła. Gospodarz oddychał ciężko.

Ariel usiadł na krawędzi ustawionej blisko łóżka, wyszorowanej z farby, drewnianej komody. Przez chwilę spoglądał na krople potu na czole Milowicza. Ni stąd ni zowąd zapytał:

– Co u ciebie? – sam nie wiedział, skąd takie pytanie przyszło mu w ogóle do głowy.

– Gorzej – odparł Milowicz z trudem przełykając ślinę.

Ariel westchnął. Przypomniawszy sobie o dyktafonie, który wciąż trzymał w dłoni.

– Skąd to wzięłeś?

Milowicz łypnął okiem na niewielkie urządzenie.

– Słyszałeś przecież. Z Katowic.

Ariel zmarszczył czoło.

– Byłem tam – dodał Milowicz.

Ariel poczuł coś dziwnego. Zrozumiał, jak mało wiedział o tym człowieku, ale i o czasach jakie nastąpiły po wojnie. Wciąż nie rozumiał tragedii ludzi, którzy ją przeżyli.

– Grzegorz ma rację – powiedział Milowicz.

– Z czym?

– Z Millerem. To był naprawdę zły człowiek. Oj, naprawdę zły...

Ariel pamiętał co nieco z lekcji historii. Ricky Miller został premierem rządu w 2031 roku. Jedną z jego pierwszych decyzji i przyjętych ustaw była nowelizacja konstytucji. Skutkiem tego było przedłużenie kadencji sejmu do pięciu lat oraz zwiększenie faktycznej władzy premiera. Od tego czasu prezes Rady Ministrów miał wpływ praktycznie na wszystko, nawet na wojsko. Jego suwerenność i autorytet były niepodważalne.

Miller zasłynął jako niezwykle zaradny przedsiębiorca. Młody, niespełna trzydziestoletni, amerykański biznesmen o polskich korzeniach, stał się głównym negocjatorem ze... Stanami Zjednoczonymi o ich pieniężny wkład w polską gospodarkę. Dzięki temu stał się swego

rodzaju prototypem przyszłych Uspolaków – otrzymał obywatelstwo w nagrodę za zaangażowanie po stronie polskiej i wypracowanie gigantycznych kontraktów. Dzięki niemu powstały w Polsce między innymi trzy ogromne fabryki, w których rozpoczęto produkcję grafenu na skalę międzynarodową. Grafen stał się naszym głównym produktem eksportowym, a raczej sprzęt, jaki z niego wytwarzano. Najwydajniejsze procesory i podzespoły elektroniczne były odtąd „Made in Poland” – nie tajwańskie, malezyjskie, chińskie czy amerykańskie.

Wkład finansowy Amerykanów, produkcja grafenu, wydobycie i sprzedaż gazu łupkowego oraz sprzedaż ogromnych ilości prądu do Niemiec i Czech z elektrowni w Legnicy, gdzie zastosowano innowacyjną metodę spalania świeżo odkrytych, ogromnych złóż węgla brunatnego – pod ziemią – rozruszały polską gospodarkę. Poprawiły też nastroje społeczne po fatalnych decyzjach zdymisjonowanego prawicowego rządu, który, jak wiadomo, wprowadził w życie nader kontrowersyjną ustawę o „poborze podatków” z początkiem 2027 roku. Polska stawała się coraz mniej zależna od Unii Europejskiej, a także Rosji. Co więcej, awaria Gazociągu Północnego spowodowała, iż Rosja zmuszona była do przesyłania na Zachód większej ilości gazu przez Polskę, co także skrętnie wykorzystaliśmy, znacznie zbijając jego cenę dla siebie.

Oficjalny doradca gospodarczy centrolewicowego premiera o jakże wymownym nazwisku – Jerzego Witosy – Ricky Miller stawał się coraz jaśniejszą gwiazdą na politycznym firmamencie Polski i Europy. Sielankowy nastrój popsuła odgórną decyzja o „Zasiedleniach” oraz jej konsekwencje, co zostało wspomniane już wcześniej. Witos i Miller robili co mogli, żeby przekonać Polaków, że po pierwsze – to nie ich wina, a danego ONZ i – przede wszystkim – Unii Europejskiej, a po drugie – że da się żyć z Chińczykami we wspólnocie. Rząd skutecznie kontrolował wydzielone jeszcze za wspomnianych rządów prawicowych – jednych z najgorszych w całej historii Rzeczypospolitej – „chińskie osiedla” na Kielecczyźnie. Po protestach w wielu miejscach w Polsce i zjednoczeniu kibiców, sytuacja w Polsce ustabilizowała się.

Kolejne wybory wygrała ponownie partia centrolewicowa, tym razem z prawie sześćdziesięcioprocentowym poparciem, a Ricky Miller został premierem. Wspomniane wcześniej, pierwsze dość kontrowersyjne decyzje nieco skonsternowały opinię publiczną. Jednak decyzja o wystąpieniu z Unii i błyskawiczna tego realizacja – cała procedura trwała osiemnaście miesięcy – przy dużym wsparciu politycznym USA,

ponownie wywindowały w górę sondażowe słupki poparcia dla rządu Millera. Opuszczenie UE nastąpiło na skutek niejasnych zagrań Brukseli wobec Polski, gdy ta zawarła umowy gospodarcze z Amerykanami. Przeciągane w nieskończoność negocjacje, blokowanie transakcji i cała masa innych ekonomicznych przyczyn rozsierdziły stronę polską i zaowocowały wyjściem z Unii.

Miller był na szczycie, jednak kłopoty miały dopiero nadejść. Na razie święcił triumfy projektem „Atom” – gigantycznym przedsięwzięciem wybudowania w jednym czasie szesnastu elektrowni atomowych w całej Polsce – i najlepszym od lat stanem polskiej gospodarki. Nieco ponad rok później zaczęły się schody.

W 2019 roku ujawnił się nieznany dotąd, niebezpieczny wirus grypy. Okazał się zabójczy zwłaszcza dla dzieci i nastolatków. Polacy jeszcze nigdy nie byli zmuszeni do organizowania tylu pogrzebów ludzi w wieku przedprodukcyjnym, co w owym czasie. Rząd musiał działać. Opracowano szczepionkę, która miała się okazać cudem. I tak się stało, chore dzieci zdrowiały. Jednak po latach lek zaczął przynosić skutek uboczny. Ni stąd ni zowąd młodzi ludzie masowo dostawali zapaści. Umierało ich jeszcze więcej niż przed laty. Rząd Millera zlecił zaprojektowanie nowego leku. Udało się, lecz liczba ludności zmniejszyła się do dramatycznego poziomu nieco ponad trzydziestu milionów polskich obywateli. Nastąpił kolejny przyływ Amerykanów. Rząd zaczął nadawać błyskawiczne obywatelstwa na niespotykaną skalę. Tak Polska zarośla się od Uspolaków, którzy wygrali dla partii Millera wybory w 2036 roku. Ricky Miller powoli przestawał być najbardziej lubianym i godnym zaufania politykiem w kraju, Polskę zaś nieoficjalnie zaczęto nazywać stanem USA.

Sytuacja w kraju stawała się coraz bardziej napięta. Wybór na głowę Kościoła katolickiego czarnoskórego Johna Mu'ambo z Kenii nie pomógł w uspokojeniu nastrojów w Polsce, podobnie jak rozpoczęcie budowy „Czeskiego muru”. Niektórzy odczytywali to wręcz jako zapowiedź końca świata! Ricky Miller robił co mógł, żeby odzyskać zaufanie społeczeństwa, jednak poparcie dlań – wśród rdzennych Polaków rzecz jasna – spadało z zawrotną prędkością. Postanowił więc nieco wycofać się z mediów, w których do tej pory było go pełno, a twarzą rządu uczynił człowieka o swojsko brzmiącym nazwisku, Krzysztofa Kowalskiego. Kowalski zasłynął przydomkiem „Millera drugiego”.

Na krótko po Igrzyskach Olimpijskich w Warszawie w 2040 roku, które jakimś cudem Miller zdołał wynegocjować dla naszego kraju po niespodziewanej rezygnacji Moskwy i które miały być kartą przetargową w odbudowaniu do niego zaufania, Polacy dowiedzieli się o drugiej twarzy premiera. Okazało się, że równoległe do projektu „Atom” realizowany był projekt „Przetrwanie”. W całej Polsce w tajemnicy budowane były podziemne schrony zdolne przetrwać wojnę nuklearną. Sytuacja na świecie nie była stabilna, toteż Polacy przestraszyli się, że stanąć mogą w obliczu wojny. Byli także rozwścieczeni niewiedzą o wielkiej inwestycji Millera. Jego wrogowie, których w międzyczasie przybyło wielu, wytoczyli najcięższe działa, podburzając lud do zamieszek. Rozruchy objęły niemal cały kraj. Do pacyfikacji musiało wkroczyć wojsko. Na początku grudnia 2040 roku Ricky Miller zmuszony był do wprowadzenia stanu wyjątkowego, który zamienił się w stan wojenny na początku następnego roku.

Zgodnie ze znowelizowaną konstytucją premier autorytarnie stał na czele państwa do chwili zniesienia stanu wojennego. Wrogowie Millera – pragnąc go obalić – nieopatrznie sprowadzili na siebie jego dominację. Premier bowiem ani myślał oddać władzy, zwłaszcza w roku wyborów. Mało tego, coraz dobitniej zaznaczał swoją władzę, a apogeum swej zachłanności osiągnął przywracając karę śmierci. Zaowocowało to odwróceniem się od Polski wielu państw, także Watykanu. Krótko po tym Polacy dowiedzieli się o pierwszych ofiarach po czeskiej stronie, o czym wspominał Ryszard Milowicz. Jak widać, ze sporym opóźnieniem.

Błyskawiczna i błyskotliwa kariera Ricky'ego Millera nie runęła nagle, lecz tak się zakończyła. Zginął w katastrofie lotniczej pod Krakowem, krótko po decyzji odłożenia wyborów na rok, dopóki sytuacja w kraju nie uspokoi się na dobre. Urządzono mu niezwykle uroczysty pogrzeb. Stanowisko prezesa Rady Ministrów przejął Krzysztof Kowalski.

Co było później – przyjdzie jeszcze czas, by o tym wspomnieć.

Milowicz ciężko oddychał, wpatrując się przez zmrużone oczy w jakiś punkt przed sobą. Milczał. Ariel spoglądał na niego ze współczuciem.

– Dlaczego wspominasz o Millerze?

Milowicz przełknął ślinę.

– Bo chociaż to zły człowiek, to zasługiwał na odrobinę zrozumienia. Nigdy nie dane mu było, by ktoś do końca go wysłuchał.

Wciąż tylko nagonka. „Peacemongering stał się warmongering!”. „Zdrajca narodu!”. „Pieprzony Uspolak!”. A przecież sami go wybrali...

Westchnął głęboko.

– Zawsze znajdują się ludzie gotowi zgnoić innego człowieka w imię określonych i tradycyjnych wartości.

Ariel nie do końca zrozumiał te słowa. Nim jednak zdążył zapytać, co Milowicz miał na myśli, ten rzekł.

– Odwróć się, proszę. Widzisz przed sobą zielonkawy radiodbiornik?

– Tak.

– Wciśnij guzik ze strzałką w lewo... „play”. Posłuchaj, to mój imiennik...

Ariel wykonał polecenie i zamarł, choć serce w nim tłukło się niemilosierdzie.

Z niewielkich głośników popłynęła prawdziwa muzyka. W schronie nie dane im było słuchać przedwojennych piosenek. Jeśli już, to tylko syntetyczne, powtarzalne, ciągle te same i na stworzone na jedną modłę industrialne pseudoutwory, od których można było zwariować.

Teraz Ariel wsłuchiwał się w radosne, melodyjne dźwięki nieznanej mu piosenki. Gdy wokalista zaczął śpiewać, przeszedł go dreszcz. Matowy głos wyraźnie kontrastował z energicznym podkładem. Śpiewający wyraźnie był smutny. Opowiadał o dzieciństwie, ciekawości świata, na pierwszy rzut ucha – czymś z gruntu rzeczy wesołym. Jednak do Ariela dotarł faktyczny sens tych słów. I to go poraziło.

Imiennik Milowicza śpiewał o śmierci, chciał się o niej dowiedzieć już jako mały chłopiec. A tym, co spotęgowało znaczenie zgrabnej metafory, był refren. Refren, w którym łamiącym, lecz jakby wołającym o życie głosem, piosenkarz błagał o sens dla siebie. „W życiu piękne są tylko chwile”. To przygniatało.

Ariel słuchał piosenki ze ściśniętym gardłem. Jeszcze nigdy nie obcował z czymś tak pięknym i smutnym zarazem. W międzyczasie w pokoju pojawili się pozostali ze Schronu Numer Dziewięć, zwabieni dźwiękami ekspresyjnego bluesa.

Ostatnia zwrotka była kopem między oczy. Iskrząca się gdzieś między wersami nadzieja została zmiażdżona, brutalnie i bezwzględnie. „Czasem warto żyć. Czasem warto żyć!” Piosenka na czasy, w których

przyszło im egzystować. Codziennie walczyć o przetrwanie z samym sobą. Ariel miał nigdy nie zapomnieć tego doświadczenia.

Utwór skończył się. Ariel siedział w stuporze, z którego wyrwał go Ryszard Milowicz, prosząc o łyk wody. Ariel podał mu.

– Dziękuję ci, chłopcze...

– Kim on był? – zapytał Ariel wskazując głową na radioodbiornik.

– Rysiek... mój imiennik... wielki, wielki człowiek. – Milowicz zwiesił głos na moment.

– Znałeś go?

– Nie... Żył długo przede mną. Ale przetrwał... dzięki swojemu geniuszowi. W czasie wojen muzy milczą, trzeba posiłkować się klasyką... A ta jest bezcenna...

Milowicz odkaszlnął i skrzywił się z bólu, chwytając się za bok.

– Rysiek powiedział kiedyś, że trzeba marzyć, bo gdy człowiek nie marzy – umiera. Tak, to prawda...

Jego oblicze złagodniało. Blizny na czole wygładziły się.

– Ale z drugiej strony... życie bywa okrutne. Zawsze powtarzałem: strzeżmy się marzeń, bogowie mogą je spełnić. Strzegłem się marzeń, a gdy pierwszy raz zamarzyłem – spełniło się. I to było najgorsze, co mnie spotkało...

Ariel patrzył na przymknięte oczy Ryszarda Milowicza w głowie mając zupełną pustkę. Wokoło było kompletnie cicho.

– Jeśli nie powiedzie wam się z Czwórką, idźcie na zachód. Wrocław... – kaszel przerwał mu.

– Dobrze, tak zrobimy – rzekł Ariel.

– Niech najlepsze co was spotkało będzie najgorszym co was spotka. Tego wam życzę. Prowadź ich dobrze...

Odwrócił głowę w stronę ściany. Ariel spojrzał na pozostałych z Dziewiątki. Opuszczali pokój. Wstał. Ale Milowicz powstrzymał go:

– Usiądź jeszcze na moment...

Spojrzał na niego swymi bystrzymi oczyma.

– Pamiętaj – nikt nie zapomina, czym jest prawda, tylko staje się lepszy w kłamaniu.

Ariel zmarszczył brwi.

– Co masz na myśli?

– Ja jestem Richard Miller. Ricky Miller.

Ariel długo na niego patrzył.

– Ale... jak to? Przecież Miller nie...

– Wiem – przerwał mu Milowicz. – Ale to ja. Przeżyłem katastrofę pod Krakowem. Byłem połamany, miałem zmasakrowaną twarz, ale odratowali mnie. Później zaszyłem się jak tchórz – westchnął pełen pogardy do samego siebie. – Dzięki Kowalskiemu udało się umieścić mnie w schronie. Dyrygowałem nim aż do samej wojny. On – kierował Novac. Dopiero potem stracił nad nią kontrolę. Ale to ja to zapoczątkowałem. Wszystko, co stało się przed wybuchem wojny było moją winą. Każda decyzja wychodziła ode mnie. Tak byłem chciwy potęgi i władzy...

Ariel miał świadomość, że te słowa nie robią na nim takiego wrażenia, jakie zrobiłyby na kimś, kto przeżył Breakdown. Ale mimo wszystko – z całą wiedzą, jaką posiadał z lekcji historii – czuł się nieswojo.

– Dlaczego mi to mówisz? – zapytał chrypiącym głosem.

– Musiałem w końcu komuś powiedzieć. Powiedziałem Grzegorzowi, mówię i tobie. Właśnie teraz.

– Ale... dlaczego?...

– Wiesz o czym marzę? – Milowicz spojrzał Arielowi w oczy, nie odpowiadając na jego pytanie.

Chłopak pokręcił głową.

– Wiesz... – Milowicz uśmiechnął się.

Ariel zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy widzi uśmiech na twarzy starca. I wówczas zrozumiał. Milowicz dostrzegł to i uśmiechnął się jeszcze szerzej. A w jego oczach Ariel zobaczył tę iskierkę oczekiwania, jaką człowiek ma tylko wtedy, gdy wie, że jego marzenie właśnie się spełnia.

Milowicz odjął od rany zakrwawioną flagę Grzegorza i przycisnął do piersi. Skrzywił się przy tym lekko, ale nie przestał się uśmiechać.

– W piekle sam nie będę... – szepnął pocieszającym głosem.

To były ostatnie słowa Ryszarda Milowicza. Ricky'ego Millera, premiera polskiego rządu.

Ariel wyszedł z pokoju. Jego wyraz twarzy przyciągnął wzrok wszystkich osób w salonie. Pojęli. Mężczyźni pospuszczali głowy. Kobiety zapłakały. Ariel czuł, że powinien coś powiedzieć, odezwać się, pocieszyć, może nawet nastraszyć, mając w pamięci dzisiejszą rozmowę z nimi

Milowicza. Wiedział, że mógłby powiedzieć wszystko, a oni słuchaliby go. Ale nie powiedział ani słowa.

Następnego dnia – słonecznego i bezwietrznego – pochowali Ryszarda Milowicza na pobliskiej łące. Stary Grzegorz nałożył na jego tors swoją flagę, poplamioną krwią dotychczasowego przywódcy. Usypali grób i resztę dnia w ciszy spędzili przy prowizorycznej mogile.

Wieczorem Ariel i pozostali ze Schronu Numer Dziewięć postanowili wyruszyć w drogę kolejnego dnia rano. O świcie byli gotowi do drogi. Stary Grzegorz zęgnął ich w drzwiach. Ariel spojrzał mu w oczy i rzekł:

– Wiem, co Ryszard ci powiedział. Zrób z tym, co chcesz, ale nie zapomnij.

Grzegorz nieznacznie skinął głową i spuścił wzrok.

Ruszyli. Szli wzdłuż starej trakcji kolejowej. Musieli dotrzeć nie do samych Kielc, lecz w okolice miasteczka Małogoszcz. Tam w jednym ze wzgórz umieszczony był Schron Numer Cztery z projektu Przetwanie. Ryszard Milowicz dokładnie zaznaczył na mapie jego lokalizację.

Dotarli do Małogoszczy wczesnym wieczorem następnego dnia, po całodziennych, intensywnych marszach. Szli w milczeniu, choć zapewne mieliby o czym rozmawiać, gdyby chcieli. Spotkanie z Milowiczem uruchomiło w nich potoki myśli, kaskady rozważań i morza refleksji. I choć Ariel wiedział więcej od swoich współtowarzyszy, to i oni pogrążeni w zadumie i rozmyślaniach. Niezwykłym był to człowiek.

Na nocleg obrali sobie odosobniony, opuszczony budynek na skraju miasta – jeszcze przed tablicą informującą o początku jego granic terytorialnych. Rozlokowali się weń i już mieli oddać się w objęcia Morfeusza, gdy ktoś niespodziewanie załomotał w drzwi.

Mieszkańcy Schronu Numer Dziewięć zerwali się na równe nogi. Nikt nawet nie pomyślał o absurdalności tego zjawiska – na nieprzyjaznym pustkowiu ktoś puka do drzwi? Stali w ciszy i napięciu. Człowiek – a może ludzie? – za drzwiami ponownie z impetem uderzył w nie pięścią. Dziadek szepnął do Ariela:

– Wyjmij broń...

Ariel chwycił w dłoń pistolet, przełknął ślinę i drobnymi krokami zbliżył się do drzwi.

– Jesteście tam? – odezwał się głęboki męski głos z zewnątrz. – Widziałem was, jak wchodzicie do środka. Nie bójcie się mnie. Przybywam z południa.

– Odejdź! – krzyknął Ariel. – Mamy broń!...

– Nie boję się śmierci – odparł głos po chwili. – Jeśli zapisane jest, że umrę tej nocy, niechże tak się stanie. Chcę tylko, żebyście mnie wysłuchali.

Mieszkańcy schronu spojrzeli po sobie. Wtem Kapłan podszedł do drzwi i otworzył je.

Przez próg przeszedł wysoki, ubrany w sięgający ziemi płaszcz, mężczyzna. Jedynym odsłoniętym fragmentem jego ciała była głowa. Był raczej młody, choć wyraźnie po przejściach. Zmęczonym wzrokiem powiódł po mieszkańcach Dziewiątki. Zatrzymał wzrok na wyciągniętej w jego stronę broni, którą trzymał Ariel.

– Nie chcę waszej krzywdy, a jedynie uwagi – powiedział cicho, po czym podszedł do zniszczonego krzeselka z wyłamanym oparciem i usiadł na nim.

Jeszcze raz spojrzął wszystkim w oczy i rzekł:

– Wierzycie w legendy?

Odpowiedziała mu cisza.

– A w przypowieści?

Ponownie nikt się nie odezwał. Kapłan przymknął drzwi i podszedł do pozostałych.

Nieznajomy zerknął na broń Ariela i uśmiechnął się słabo.

– Bo sam nie wiem, jak traktować tę historię.

I zaczął mówić, a oni odtąd nie wiedzieli już, co było prawdą.